

Przekleśte szczęście.

(Ciąg dalszy)

Z kolei myślał o fabryce płótna, o swojej starej ciocie, biednym rękawiczniku, który mu jakiś czas darmo dawał obiady, o ludziach niemających roboty, o projektach obrachowanych na ogólny pożytek i niewymowna gorzkość napętała mu serce. Przypomniał też sobie pewnego staruszka w piaskowym surducie, znakomitego filozofa i pesymistę, z którym poznał się w Paryżu. I przed nim Władysław często rozwijał swoje ogromne plany. Starzec słuchał go zawsze z pobłażliwym uśmiechem i w konkluzji rzekł:

— Wielkie idee, oprócz wielu złych, mają jedną dobrą stronę. Oto: stanowią pewien rodzaj umysłowej wizytacji dla ludzi młodych i zdolnych, lecz ubogich!...

— Tak, szepnął Władysław. Majątek mój jest za duży na to, aby go oknem wyrzucić, a za mały na uszczęśliwienie świata. Gdybym go rozdzielił tylko między swoich współobywateli, na każdego wypadłoby niecałe trzynaście groszy!...

Ostatnia ta uwaga zapieczętowała szereg tych medytacji. Władek wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, jak człowiek, który już wie, co mu robić wypada.

— Cnoty toną w interesie, jak rzeki w morzu, powiedział La Rochefoucauld. Miał słuszość.

Władysławowi głowa pałała, puls bił jak młoty. Otworzył lufcik i głęboko odetchnął. Na dworze była noc i cisza, w jego pokoju dogorywała lampa.

Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że wśród pomroków nieknie przeciwległa ściana pracowni, odsłaniając przed jego oczyma wykintny buduar, pełen bogatych sprzętów i upajającej woni. Na fotelu, pokrytym ciemnozielonym aksamitem siedziała, a raczej leżała kobieta z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczyma i wyrazem zachwytu na śniadej twarzy.

— Mów cokolwiek! szepotał widmo. Niech usłyszę głos twój!...

— Ach! ach! rozległ się jęk w pokoju Helenki. Władek wybiegł tam.

— Co ci jest Heleniu?... zawołał.

— To ty, Władziu?... Nie... śniło mi się coś, zresztą nie wiem...

— Może nasze miliony? spytał się z uśmiechem.

Nie odpowiedziała nic i znowu zasnęła.

V.

PIERWSZE KROKI.

Szatan i obłąd panują zawsze w nocy; dzień jest ojcem zdrowego sądu. Władek wstał z rana wczorajszych przewidzeń i spokojnie myślał o obowiązkach, których nikt wprawdzie nie mógł mu narzucić, lecz które tkwiły w jego duszy.

Głos rozsądku i sumienia przypominał mu ludzi, od których doświadczył dobrodziejstw i projekty, które obecnie mógł wykonać. Wstał trzeźwy, ubrał się szybko i wyszedł do biura telegraficznego, aby donieść o swej fortunie Grodzkiemu i wezwać go na współnika.

Do czego na współnika? jeszcze nie wiedział.

W połowie drogi na ulicy usłyszał, że go ktoś woła. Obejrzał się i zobaczył karetkę, z której wysiadał Welt.

— Szedłeś pan do mnie! rzekł bankier tonem niezachwianej pewności. Wiesz, podobne wypadki trafiają się nader rzadko.

— O czym pan mówi?

— Rozumie się, że o pańskich milionach. Ja wiem wszystko! Traf cudowny! Kasa moja jest na pańskie usługi i nawet dziś mogę panu ofiarować sto tysięcy na osiem procent. Nigdzie pan nie do staniiesz taniej.

Oszłomiony Władysław milczał.

— Naturalnie zgadzasz się pan — mówił dalej Welt. — Siadźmy do mojej karetki...

Musisz się pan wykwipować przyzwoicie. Zaraz panu oddam pieniądze, a we wolnym czasie pogadamy o pańskim projekcie towarzystwa budowlanego, który mnie zachwycił! Stangret zawróć! Jechałem właśnie do pana. Trzeba służyć społeczeństwu w miarę środków, panie Władek; to zasada. Musimy mieć towarzystwo budowlane!

Gdy stanęli na miejscu, bankier rzekł:

— Każę przygotować rewers, a tymczasem racz pan wstąpić do mojej Amelki.

Władek machinalnie poszedł

na górę i za chwilę już był w salonie.

Czekał minutę... dwie.... W połowie trzeciej ukazała się bankierowa.

Była bardzo blada i podając Władysławowi rękę rzekła zmienionym głosem:

— Dawnośmy się już nie widzieli!...

Na twarz jej wybiegł ramienie.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwała pani Welt.

— Dziś dowiedziałam się o pańskim... nie wiem, jak nazwać... Ludzie nazywają to: szczęściem. Jeżeli istotnie szczęście, w takim razie szczerze, serdecznie wieszczę panu.

Władek pocałował ją w rękę. Była gorąca jak ogień, lecz sztywna.

Potem mówili o rzeczach obojętnych, początkowo z poważnego rodzaju przymusem, następnie śmiejąc się. Nagle usłyszeli na schodach głos Władeka.

Pani Amelia zainicjowała przedmiot i zapytała prędko:

— Wszak wyjeżdżasz pan do Krakowa?

— Zapewne...

— Kiedy?

— Jeszcze nie wiem. dokładnie.

— Ja chciałabym także wyjechać.

— Kiedy? — spytał znowu Władek, czując, że mu serce bić przestaje.

Pani Amelia zawahała się. Bankier wstępował na schody.

— W piątek wieczorem... dodała szybko stłumionym głosem.

Welt wszedł do salonu; porozmawiali chwilę razem, zabrali Władeka do swej kancelarii. Tam przez dobrą godzinę liczyli pieniądze, a wreszcie pożegnali się bardzo serdecznie.

— Ja, panie, rzekł bankier w końcu, jestem człowiekiem, którego do rany można przyłożyć. Ja dla projektów pańskich miałem zawsze wielką sympatię i gdyby nie... No, pan wiesz, jak kobiety bywają ostrożne!... Sądzę także, że nie pogńiewasz się pan na Amelkę, jeżeli powiem, że ona nam najwięcej przeszkadzała w porozumieniu się. Ale wczoraj zwyciężyłem ją stanowczo! Pan jesteś człowiekiem pomysłowym, a to w interesach dużo znaczy...

Gdy Władysław był już

we drzwiach, Welt zawołał:

— Ale!... ale!... wiesz pan co?... Mówmy sobie ty! Między przyjaciółmi i współnikami nie powinno być ceremonii. To moja zasada. Władziu!

Wróciwszy do domu, Władek zastał już kilka biletów wizytowych od przyjaciół, którzy go wczoraj jeszcze nie znali i kilka prośb od osób ubogich, które chyba cudem dowiadzały się o jego fortunę.

— Oto jest natura ludzka! rzekł ze śmiechem.

— W każdym jednak razie wesprzesz Władziu tych biedaków. Któż wie, czy i oni już oddawna nie wydali ostatniego rubla? odpowiedziała Helenka.

Władysław obiecał ich wesprzeć; śmiejąc się, opowiedział żonie o serdeczności Władeka, pokazał jej pieniądze i zawiadomił, że w piątek wieczorem musi wyjechać do Krakowa.

— To pojutrze! szepnęła Helenka, błędąc. Tak mi będzie smutno...

Uściskał ją i już nie mógł wili o podłożu.

Następnego dnia powiedział jej o wynajęciu nowego mieszkania.

— Wziąłem na Krakowskim pięć pokoiów, przedpokój i kuchnię za osiem set rubli...

— Tak nam tu było dobrze, odpowiedziała Helenka. O!... już na nowym mieszkaniu nie spotka nas szczęście...

— Prócz tego, mówił mąż, będziemy mieli eleganckie meble, lokaja, pokojówkę i dobrą kucharkę.

— A cóż się stanie z Mateuszową?

— Ach! prawda... Zresztą, jeszcze pomyślimy o niej.

Nadszedł dzień wyjazdu, wietrzny, pochmurny i słotny. Władek był zadumany. Helenka wdychała. Oboje nie tknęli obiadu i z niepokojem oczekiwali wieczoru.

Około ósmej Helenka rzekła:

— Odprowadzę cię na kolej, dobrze?... — Daj pokój aniołku, mój szczerzy zaziębił.

O dziewiętej zajechał na podwórze powóz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

— Kupujcie szczeniaki i mieszane farby w składzie Herrenbrück'a na Iszej i Lincoln av.



Rozgłasza jego sławę.
St. Edward's College
Austin, Tex., 23 Kwietnia 1892.

Jeżeli można przetrwać o znikomym, „F. Koenig's Nerve Tonic”, gdyż polecał go często przy chorobach systemu nerwowego, a w każdym poszczególnym wypadku skutek był taki, iż moje ka niema zaufanie się zwiększało, a sławę jego dalej rozgłaszałem.

F. J. Hurt, proboasz

San Elzevir, Tex., 12 Czerwca 1891.
Przed 2 laty lekawie przywodził mi kilka flaszek „F. Koenig's Nerve Tonic”, które dałem później dwóm biednym dziewczętom nawiedzonym padaczką i obydwie zostały wyzdrowiałe. Później dałem jedną z nich, która została wyzdrowiałą. Wam kocham za znakomity środek, który daje ubogim tak wspaniałomyślnie.

Proboasz E. V. Lebrason.

DARMO książkę wielkiej wagi o chorobie nerwowej i butelkę na próbkę posyłamy na wasz adres. Biedni tak że otrzymają lekarstwo darmo.

Lekarstwo to przyrzadził Ks. Koenig z Fort Wayne, Ind. od r. 1876, a teraz sprzedawane jest pod nazwą:

KOENIG MED. CO., Chicago, Ill.
49 ulica S. Franklin.

Sprzedawane po aptekach za \$1.00 butelkę, 6 za \$5.

Duża butelka \$1.75, a 6 za \$9.

W Milwaukee u E. Krems'a, róg Iszej i Greenfield ave.

Odezwa do czytelników!

Aby dostarczyć czytelnikom polskim wszelkiego rodzaju i wieku materiału dla bibliotek domowych i brackich w poprawnym polskim języku i duchu katolickim; aby umożliwić również dzieciom jak starcom miłą zabawę w czytaniu i przyrzucić cegiełkę do wielkiej budowy uczucia naszej emigracji polskiej, wydajemy od 1-go Stycznia, 1899,

tygodnik powieściowy

“ŹRÓDŁO”.

Tygodnik ten zawiera trzy doborowe powieści i nader cenne rozprawki, mające razem stanowić księgę 9x12 z końcem roku.

Prenumerata roczna na „ŹRÓDŁO” i „KATOLIK” razem wynosić będzie. \$2.00

Prenumerata na sam tygodnik „ŹRÓDŁO”.....\$1.00

Prenumerata na sam tygodnik „KATOLIK”.....1.50

Tak pojedynczo jak i obywatel tygodniki płatne są całorocznie lub półrocznie z góry za pomocą pocztowym lub czekami pod adresem wydawcy:

REV. W. GRUTZA,

Cor. Lincoln & First Aves., MILWAUKEE, WISCONSIN.

Uprasza się więc Szanownych Czytelników, aby po odebraniu numeru okazowego zawiadomili redakcję, czy zechcą to pismo prenumerować, gdyż dalsze numery takowego tylko tym posyłać będziemy, którzy je piśmiennie lub ustnie zamówili.

Uprasza się więc Szanownych Czytelników, aby po odebraniu numeru okazowego zawiadomili redakcję, czy zechcą to pismo prenumerować, gdyż dalsze numery takowego tylko tym posyłać będziemy, którzy je piśmiennie lub ustnie zamówili.

Po najlepsze i najnowszej mody zrobione

FOTOGRAFIE

...IDŹCIE DO...

N. L. STEIN, fotografista,
452 ul. Mitchell, nar. 2giej Ave.

FIEBING I KILLILEA,

Adwokaci pierwszorzędni

do spraw sądowych, cywilnych i karnych. zajątawia wszelkie sprawy z największą punktualnością i rzetelnością po cenach umiarkowanych.

BIURO: 343, ulica Trzecia,

MILWAUKEE,

WISCONSIN.

GENOWEFA

POWIEŚĆ z wieków średnich nadzwyczaj interesująca wyszła z druku starannie opracowana językiem poprawnym i jest do nabycia

w redakcji „Katolika”

...ORAZ...

w księgarni Wiltzius'a.

Jest to dziełko nieocenione dla czytelników wszelkiego wieku i rodzaju.

CENA egzemplarza 25 centów.

Przy kupnie większej ilości daje się rabat

Kwoty ubezpieczenia na życie

wpłacone do Kompanii assekuracyjnej

“New York”

może zabezpieczony po trzech latach każdego czasu z prowidzą odebrać.

Najkorzystniejsza usługa u

JANA McNAMARA,

Auditorium Hotel Annex., Chicago, Ill.

Osobliwe ustępstwa dla katolików i katolickich duchownych.

POLSKI SKŁAD WIN I WÓDEK,

oraz wielki zapas WIN MSZALNYCH i familijnych.

Szczególnie poleca się własnego wyrobu KUJAWIAK, trunku szarego jako najskuteczniejsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości żołądka.

ANTONI ANDRZEJEWSKI,

723—725 Windiack Avenue,

MILWAUKEE WIS

KURPIE.

Opowiada przez Kazimierza Władysława Wójcickiego.

“Stara powiatka jak wino z Tokaja
Serce zagrzewa i umysł upaja.”
Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

(Ciąg dalszy.)

Zienkiewicz nalał drugi puchar. — Śmiało pijcie, rzekł do Remera, bo to stare wino, a u nas mawiają: “Ze stara księga, stara prawda i stare wino zawsze dobre.”

— Jest to wielka prawda, zgadzam się, na starą prawdę, a szczególnie stare wino, ale dziękuję za starą księgę; ja ani jednej w swoim życiu nie przeczytałem. Oto nasza księga! zawołał uderzając w leżący na stole pałasz, to księga, to prawda najlepsza.

Zienkiewicz z boleścią westchnął. O! biada! pomyślał, gdzie sama szablą prawdą będzie! Niedługo i wicherze zastawiono: Remer zajął smaczno, pił wiele, aż rozmarzony, nie skończy ulubionej piosenki, zasnął twardo.

Grudeziński ze sypialnej komnaty przeszedł cicho koło śpiącego Szweda i spojrzał na podwórze. Noc była ciemna, śnieg tylko na dachach biał, nadstawił ucha, milczenie.

— Jeszcze nie czas, rzekł do siebie i powrócił do alkowy.

XIII.

Stanisław Bąk i borowy najbliższymi dróżnikami dochodzili pod Ostrołękę, im więcej się zbliżali, coraz wyraźniej huk ręcznej broni i działowy słyszeli.

— Spieszmy, Staśku! spieszmy, żeby nie zaspac ciepłych gruszek w popiele, zawołał borowy, przyspieszając kroku, odetchnął swobodniej, jak choć z jednego Szweda duszę podaruję diabłu na ofiarę. Właśnie wyszli z lasu, ujrżeli na czystym polu rozwinione szeregi Karola XII. Kurpie bronili się

zacięcie przy wiatraku i we wsi między opłotkami.

— Czy widzisz! wykrzyknął ze zapałem borowy, nasi jeszcze we wsi trzępią czerwonym diablem skórę. Hurra na nich! I rzucił się naprzód z przygotowaną strzelbą, ale w tej chwili dwóch drabantów szwedzkich ujrzał tak blisko siebie, że nie miał czasu wystrzelić.

— Uważniejszy Stanisław Bąk zmierzyl, a z polyskiem na panewce zwałł jednego z konia; drugi chciał uciec, ale borowy, który przed cięciem pałasza przypadł do ziemi, nagłe się rzucił, porwał olbrzymią siłą za nogę i ściągnął z konia; rozjątrzony wymierzył cios w czoło Szweda. Bąk przybiegł, chciał uratować drabanta, ale zapóźno: przytrzymał tylko konia, gdzie spodziewał się łupu bogatego.

Tymczasem Karol XII parł coraz więcej Kurpiów, osadzonych między opłotkami i we wiatraku, ale wszędzie dzielny znajdował opór. Naprzód jazda szwedzka w całym pędzie chciała się przedrzeć, każde uderzenie własnymi opłacała trupami. Los przechylił się na stronę szczęśliwego Karola XII; potrafiono zapalić wiatrak i wioskę, które służyły Kurpiom dotąd za ochronę, w ówczes ci z jednej strony skwarzeni pożarem, z drugiej przyskani od wiele liczniejszych wrogów, musieli ustępować na czyste pola, gdzie widzieli zgnę i od jazdy i od kul działowych. Ale nie stracili odwagi, w porządku, wśród gradu kul opuszczali wioskę i wiatrak.

Czekał tylko na to Karol XII; Zaledwie na polu się ukazał, jazda szwedzka ich okoliła; już byli zgnębieni, w tym wrzawa w pobliżu powstała; na zuchwałych pewnem zwycięstwem uderzył Telembski na czele 200 szlachty. Zmieszani chwiać się zaczęli, z czego korzystając Kurpie, uszli zagłady.

Telembski widzi zamieszanie, umie korzystać; zachęca swoich i z głośnym okrzykiem uderza na ośm zmugowców, których ogień najwięcej raził, zdobywa je w jednej chwili, Szwedzi uciekają.

Wszystko to uważał borowy i Stanisław Bąk, ale sami oddzieleni, bojąc się napadu jazdy licznej,

zaczajeni za krzakami, celnymi strzałami przerzedzali wrogów; widzieli napad śmiały Telembskiego, widzieli jako od razu działa umilkły w tamtej stronie, gdy z nagle widzą popłoch pomiędzy swoimi, widać z boleścią, że zwyciężają Szwedy. Karol XII, bowiem, skoro ujrzał zdobyte działa śmiałym na padem Telembskiego, sam uderza, na czele jazdy nie mu się oprzeć nie mogło, odbiera armaty, a Telembski, cięty od niego w ramię pałaszem zale dwie uriesiony przez swoich.

Już nie było nadziei poprawienia losu bitwy. Kurpie rozsypani gnieli pod szablami Szwedów, jazda polska w rozsypane znalazła ochronę. Stanisław Bąk i borowy chyliem do polskiego lasu uciekali. Tam przychylieni w gęszczu, zmordowani, spoczęli. Karol XII otrzymał pole bitwy i kazał ściegać zwyciężonych.

Telembski ciężko ranny, zaledwie oddychał o słabiony krwi upływem; trzymał go w swoim objęciu Jan Huczek, przywiązany szczególnie pacholek, który go prawie na rękę wyprowadził i wszędzie nieodstępnie towarzyszył. Przewieszony na koniu omiadał; nieczuł żalu z wydartego zwycięstwa, nie czuł boleści z odniesionej rany.

Huczek tak dowieź swego pana, aż na podwórze Wojewodziny działuńskiej; ujrżeli dworzanie rannego, poskoczyli, i zanieśli do sypialnej komnaty na wygodne łożo.

Twarcz wybladła, cały krwią zbрызany; oczy zamknięte; bez przytomności leżał Telembski, przy nim stała sama Wojewodzina i z wlepionymi oczyma wpatrywała się w oblicze młodzieńca. Po wielu trudach i trzeźwieniu, otworzył oczy i westchnął.

— Żyje! zawołała w uniesieniu radości Działuńska, żyje! i przyłożyła mu rękę do serca.

Przywołany lekarz zalecił jak największą spokojność słabemu; opatrzył ranę i uspokoił troskliwość Wojewodziny, że nie jest groźną.

Działuńska usiadła przy łożu słabego ze zamysleniem, kilka razy westchnęła z boleścią, a najczęściej przykładając mu rękę do serca mówiła do siebie:

— Biję, ale jakże słabe! o! gdyby tylko chociaż tyle dla mnie!

Karol XII po odniesieniu zwycięstwa dojeżdżał do wiatraka, który jeszcze cały był w płomieniach, przy domku młynarza stało 80 Kurpiów wziętych w niewolę.

— Tych chłopów bez butów wywieszać co do jednego, zawołał z gniewem. No! czego stoicie! krzyknął w uniesieniu na swoich. Karol nie potarza rozkazu! Tu na wierzbie po jednym, a gdy zabraknie miejsca na stryczek niech spróbują jak teraz ciepło we wiatraku.

Zachęcone żołdactwo rzuciło się jak psy wściekłe na bezbronnych Kurpiów; w jednej chwili kilkunastu wisiało na drzewie, dwóm związali ręce i nogi, a rozbijawszy z początku, rzucili w płomienie; jęk nieszczęśliwych męczenników pobudził zbójów do śmiechu, po jednemu wybierali, a rzucając losy dla rozrywki albo na drzewie powiesili, lub żywcem na pastwę płomieni rzucali.

Nad wieczorem zagasił ogień, gdy cały wiatrak spłonął. Karol XII przejeżdżał znowu, przypatrywał się powieszonym Kurpiom w tym koń się potyka mocno, spojrzał Karol na ziemię i ujrzał, że zdeptał ciało Kurpia spalonego na węgiel, którego trup jeszcze zaważył mu w drodze.

Koniec Tomu pierwszego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadka.

Rozwiąż zagadkę — zagadka nie lada:

Jaka to woda, co z nieba nie spada?

Jaka to woda, co nie tryska z ziemi?

Gorzka, a przecież walczy z najśłodszymi.